

Wyspy mniejszego znaczenia

14 września 2012

Próby powstrzymania chińskiej ekspansji gospodarczej przez USA oznaczają większe zainteresowanie Waszyngtonu wyspami mórz południowych. Dla samych wysp ma to jednak niewielkie znaczenie praktyczne.

Takich gości i tylu, Rarotonga jeszcze w swej historii nie miała. W ostatnim tygodniu sierpnia na tę największą wyspę w archipelagu Cooka na południowym Pacyfiku, zleciały się delegacje z ponad 50 krajów, w tym wszystkie z małych wyspiarskich państw w najbliższym sąsiedztwie. Pojawili się jednak i ważni premierzy Australii i Nowej Zelandii oraz sekretarz stanu USA pani Hillary Clinton. Z trudem i tylko na krótko starczyło miejsca dla wszystkich, bo samych mieszkańców jest tam zaledwie 13 000, plus kilka tysięcy turystów na plażach pod palmami w całorocznym sezonie.

Na rajską wyspę sprowadził aż tylu VIP-ów doroczny szczyt Forum Wysp Pacyfiku (Pacific Islands Forum, PIF), który tym razem uzyskał niespodziewanie wiele uwagi w mediach zachodnich i sporą oprawę propagandową. To dziwne, bo wyspy te uchodzą przecież nadal za „zubożałe, strategicznie nieistotne państwa wyspiarskie” („impoverished, strategically unimportant island states”) jak je bezceremonialnie określił w pierwszym komentarzu z obrad jeden z amerykańskich korespondentów. Wyjąwszy Papuę Nową Gwineę (PNG), która ma 7 milionów mieszkańców, żadne z wyspiarskich państw tego regionu nie ma więcej niż milion obywateli. Niue, zwana „matką huraganów” ma ich tylko 1500. Oprócz bogatej w kopaliny PNG żadne z tych państw nie ma też bogactw naturalnych. Nauru, jedyna wyspa zbudowana ongiś prawie w całości z fosforytów, została już wyeksploatowana niemal „do kości” i praktycznie zamieniona w bezwodną płaską pustynię, skąd mieszkańców wcześniej czy później trzeba będzie ewakuować. Wyspy te nie mają też dużego międzynarodowego znaczenia komunikacyjnego. Chociaż tzw.

Pierścień Pacyfiku, czyli państwa na brzegach oceanu stają się dziś w coraz większym stopniu epicentrum światowej gospodarki, to wymiana pomiędzy nimi odbywa się szlakami, które przechodząc przeważnie na północnej półkuli z daleka omijają zapomniane, rozproszone i niewielkie wyspy południowego Pacyfiku. Skąd więc nagle aż tyle zainteresowania?

Głównym powodem niepokoju w Waszyngtonie jest rosnąca obecność Chin także w tym obszarze świata. Wiąże się to z nową strategią administracji Obamy, zmierzającą do powstrzymania rosnących wpływów chińskich i przewartościowania globalnej strategii USA wobec Pekinu. Najwięcej lęku wzbudzają hojne, długoletnie chińskie pożyczki udzielane na dobrych warunkach rządowi Tonga, Vanuatu, Wyspom Cooka, a zwłaszcza wojskowemu reżimowi na Fidżi. Jeszcze bardziej niepokojące jest zaangażowanie firm chińskich w górnictwo PNG, aczkolwiek alarm podniesiony w zeszłym roku przez panią Clinton, jakoby Chińczycy zasadzili się, aby wyślizgać Exxon Mobil z gazowego projektu w PNG wartego 16 mld USD, okazał się chybiony. Także Australia zdradza oznaki niepokoju, ale to raczej w związku z tym, że Chiny nie chcą podpisać umowy o koordynacji pomocy dla regionu, uzgodnionej na konferencji PIF w Cairns w roku 2009, i wolą działać na własną rękę inwestując na własnych, dwustronnie uzgadnianych warunkach.

Ta nowa rywalizacja o wpływy na wyspach Pacyfiku przypomina okres, kiedy miały one większe znaczenie gospodarcze i strategiczne. Np. dwa wieki temu statki, nawet rejsowe, płynące z Anglii, Francji i Ameryki bezlitośnie polowały na wieloryby między wyspami. W latach 1840. statki z Ameryki i Australii gorączkowo poszukiwały tam na wyspach drewna sandałowego, a w oceanie ogórków morskich (strzykw), płetw rekinów, żółwi i innych przysmaków, za które od Chińczyków kupowano cenną herbatę. Kiedy zamiast żaglowców pojawiły się pierwsze statki parowe, na niektórych wyspach, gdzie istnieją głębokie porty pełnomorskie próbowano zakładać bunkry węglowe, dopóki szybki postęp techniczny nie umożliwił większym statkom

pokonania trasy z San Francisco do Australii bez potrzeby uzupełniania paliwa.

Następnie przyszła II wojna światowa. Po tym jak Japonia zbombardowała Pearl Harbour na Hawajach w grudniu 1941, zażarte walki na Guadalcanal (Wyspy Salomona) i na Bougainville (PNG) sprowadziły do tego rejonu wielką liczbę amerykańskich żołnierzy, którzy po zwycięskiej wojnie praktycznie roztoczyli protektorat nad odbitymi z japońskich rąk terytoriami, z których większość ma dziś „porozumienia o wolnym stowarzyszeniu” z USA.

Jak dotąd jednak nowa strategia wobec Pacyfiku określana przez Waszyngton jako „rebalancing” (inne wyważenie elementów) niewiele na wyspach zmieniła w praktyce, jeśli nie liczyć kilku dodatkowych grantów w programie stypendialnym oraz otwarcia biura USAID, amerykańskiej agencji pomocy rozwojowej w Port Moresby, stolicy PNG. Większość strategicznych wysiłków Waszyngtonu w zakresie powstrzymywania nowej ekspansji Chin kieruje się w stronę dużo ważniejszych państw ASEAN-u w Azji południowo-wschodniej a także w stronę zacieśniania więzi z samą Australią i Nową Zelandią. W ubiegłym roku ujawniono plany rozbudowy wielkiej bazy morskiej USA w Darwin w Północnej Australii.

I nawet teraz, po tym iście dywanowym nalocie (a dywan zapewne był czerwony...) Bardzo Ważnych Gości na Rarotonga, wyspy południowego Pacyfiku nie mają wielkich szans, aby odgrywać większą rolę w amerykańskiej strategii lub dyplomacji. Także i to spotkanie służyło przecież tylko do podkreślenia przez Amerykę, że z Australią i Nową Zelandią łączy ją organiczna wspólnota antychińskich interesów. Dla sielskich wysp zapomnianych na Oceanie Spokojnym byłoby może nawet i lepiej pozostać poza zainteresowaniem politycznym (czytaj: wojskowym) i gospodarczym (czytaj: kolonialnym) ze strony USA. Ale jeśli Amerykanów mieliby zastąpić tam Chińczycy?

Autor: Bogusław Jeznach

Źródło: [Nowy Ekran](#)